

ROZDZIAŁ 11

Iwona 'Lithium' Przekłasa

Unicestwienie

13



Potrafił poruszać się niemal zupełnie bezszelestnie, a mimo to wyczułam Jego aktywność. Chodził po pomieszczeniu i coś przestawiał, poruszył krzesło, położył jakąś miękką rzecz na podłodze, jego biodro otarło się o kant szafki. Chyba. Nie otworzyłam jeszcze oczu, czułam jednak Jego delikatne ruchy. Będąc tutaj trzeba mieć wyostrzone wszystkie zmysły. Teraz jednak wiedziałam, że jestem bezpieczna i „obserwowanie” Go traktowałam jako trening.

Przez zamknięte powieki nie przebijało się jeszcze światło dnia. Nic dziwnego – zapewne jak zwykle rozpoczął swoją aktywność na długo przed brzaskiem. Lubił być przygotowany na nadejście dnia. A wszystko robił w ciszy, by pozwolić mi odespać noc.

Dochodziły do mnie poszlaki aromatów tego miejsca, ciężki i lepki, lekko słodkawy odór nieczyszczonej odzieży dominował ponad wszystkim. Przebijała się przezeń woń prawdziwej, dobrze obrobionej skóry, będąca wspomnieniem zapachu jaki unosił się niegdyś w tam, gdzie dawniej pracowałam.

Powoli otwierałam oczy by stawić czoła kolejnym długim godzinom nadchodzącego dnia. Wyprawa wydawała się być zbyt żmudna i bezcelowa, On jednak uparcie twierdził, że musimy iść. Wydawało się, że nie można się Mu sprzeciwić, zawsze robił ostatecznie to co chciał. Nie potrafiłabym niczego Mu odmówić, a tym bardziej obrać inny kierunek drogi, niż ten wyznaczany przez Niego. I choć miał zaledwie dziesięć lat wywierał podobny wpływ na wielu dorosłych ludzi.

Niemniej jednak zawsze podróżowaliśmy sami. Tak było łatwiej o schronienie, ponadto mniej rzucaliśmy się w oczy. Dokąd zmierzaliśmy? Tego nie wiedziałam. On miał jakieś przeczucia, wskazywał drogę. Nie raz myślałam, że to głupie słuchać dzieciaka i wędrować nie znając celu. Choć czy życie kogokolwiek z ludzi stojących zawsze w tym samym miejscu i wykonujących dzień po dniu te same czynności, ma jakiś większy cel? Co za różnica czy obudzą się oni przy kolejnym brzasku czy też słońce oświeci krwawe pobożowisko? Jaki sens ma życie będące zapętloną kserokopią stałego, nudnego wzoru – wstać, zjeść, pracować, wydalać, spać, zjeść, pracować, wydalać...etc., etc. aż do porzygania. Podróż dokądkolwiek dawała nadzieję na znalezienie istoty bytu ziemskiego i na polepszenie warunków naszej marnej egzystencji. Wiec szliśmy. Każdego dnia szliśmy tam gdzie wskazał On.

— Dzień dobry! – odezwał się wesoło, lecz ja nie miałam jeszcze ochoty odpowiadać. — No przecież widzę, że już dawno nie śpisz. „Jeszcze

pięć minut” w niczym Ci nie pomoże, za to jeśli szybciej wstaniesz to szybciej dojdziemy.

Choć nadal uparcie zaciskałam powieki, widziałam Jego promienny uśmiech. Zawsze taki był. Niby poważny, przedwcześnie dojrzały, a mimo to przedziwnie radosny, zarażający optymizmem. Biła od Niego ta dobra, czysta siła. Siła, której istnienie we współczesnym świecie wydawało się kpina, jawnym szyderstwem ze zła i brzydoty, panoszących się wszędzie wokół nas.

Wypracowaliśmy już pewne rutynowe działania, choć bywało, że schemat zaburzały różnorodne czynniki, na które trzeba było być przygotowanym. Jak jakiś pierdolony jasnowidz przewidywałam, co może nas spotkać w drodze. Nosiliśmy ze sobą broń przeciwko zmutowanym stworom. O dziwo, On miał niezwykle oko, celował zdecydowanie lepiej niż ja, a Jego ruchy były precyzyjne i zawsze w pełni przemyślane. Jak to robił? Nie wiem. Może to ten Jego dar, w który cały czas wierzyłam, a którego nie umiałam pojąć swoim zakutym, racjonalnym umysłem?

Wstawaliśmy zawsze bladym świtem, On jeszcze wcześniej by przygotować wszystko do podróży. Staraliśmy się wychodzić zanim pobudzą się ludzie, przypadkowo przecinający naszą drogę. Jedliśmy idąc, by nie tracić czasu. Dopiero w czasie największego natężenia promieniowania chowaliśmy się po grotach i spożywaliśmy namiastkę obiadu, często także przysypiając, by zregenerować siły. Tak było i tego dnia, i wczoraj, i przedwczoraj, i wiele dni wstecz. Nie wiem jak daleko byliśmy ani jak blisko było już do celu. Dla mnie świat był niewiadomą, ale On sprawiał wrażenie niezłomnej pewności i przekonania o słuszności swoich działań.

— Miałam dzisiaj taki piękny sen... — zaczęłam opowieść rozmarzonym głosem — Szliśmy przez ogromną, soczystą zieloną łąkę. Z prawej strony leniwie płynął strumień, otoczony pojedynczymi drzewami przeróżnych gatunków. Gdzieś tam kwitły kolorowe kwiaty, słysząc było śpiew...

— Oj, przestań! — przerwał mi gwałtownie — Zawsze tylko śnisz o przeszłości. Musisz z tym skończyć, tego już nie ma i nie wróci. Rozejrzyj się wokół siebie i spróbuj znaleźć piękno wśród tego co masz. Tamten świat przeminął, nowy jest inny, ale również wspaniały. Nigdy nie docenisz teraźniejszości jeśli nie pogodzisz się z obecnym stanem rzeczy i nie zamkniesz przeszłości we wspomnieniach.

Rozejrzałam się... Wszystko dookoła mnie było szare i smutne. Nawet niebo nie miało już tego błękitu co kiedyś. Trawy zawsze pożółkłe, drzewa pokryte nieregularnie poskręcanyymi liśćmi lub całkiem ich pozbawione. Co w tym może być pięknego?! Brud, kurz i pył... I ten monotonny szaro-brązowy kolor. Jakby Stwórca (kimkolwiek jest) zużył wszystkie farby przez poprzednie stulecia i teraz zostały Mu tylko te beżowe, ponure, przez nikogo nie chciane.

— Chodź! Jesteś mi potrzebna!

Doskonale widział w jaki sposób najłatwiej do mnie dotrzeć. Kiedy zaczynałam się zastanawiać nad celowością dalszego istnienia po Tym... kiedy mówiłam, że i tak wszyscy wyginie na tej przeklętej, wszechobecnej pustyni... kiedy zaciskałam powieki, powstrzymując łzy bezradności... On zawsze znajdował takie słowa, które zapalały we mnie nowe siły. Dawał mi to, czego najmocniej pragnęłam.

Był dla mnie wszystkim. Przewodnikiem, ostatecznym celem każdego działania, moim jedynym Synem i miłością mojego życia, był opiekunem, a zarazem kimś kogo mogłam otoczyć troską. W trakcie dnia stawał się nieocenionym rozmówcą, dotrzymującym towarzystwa w drodze i rozważaniach na wszystkie tematy współczesnego świata. Nie pamiętałam już życia bez Niego, nie wyobrażałam sobie co by było gdyby Go nie było, bo nie mogło tak nigdy się stać. Życie to On, On to życie. Jedno bez drugiego istnieć nie miało prawa.

Wśród takich myśli często mijały mi całe godziny i dni. Roztrząsaliśmy po raz kolejny te same zagadnienia, padały wciąż powtarzane pytania. Zbyt mocno wrosłam w tamten świat, za bardzo go kochałam, by móc tak po prostu się z tym pogodzić. Dlatego każdy dzień zmieniał się w długą dyskusję, ciągnącą się godzinami w rytm naszego marszu – krok za krokiem, słowo za słowem. Wreszcie nadszedł czas, by znaleźć miejsce na nocleg. Tym razem dopisywało nam szczęście, gdyż na linii naszego wzroku dostrzegliśmy jakąś osadę ludzką. Zwykle nie mieliśmy problemów ze znalezieniem schronienia wśród cywilizowanych mieszkańców – zawsze jest ktoś kto zechce coś kupić, o ile tylko ma się cokolwiek na sprzedaż. Zanim jednak przystępowaliśmy do transakcji towarowych, rozglądaliśmy się za odpowiednim obiektem do innego rodzaju układów. On twierdził, że nie jest to konieczne, ja jednak wiedziałam swoje. Ponadto, czego nie mógł być świadomy, potrzebowałam tego i sprawiało mi to przyjemność, dając namiastkę

czułości i poczucia atrakcyjności, a także przeświadczenie, że jednak nadal mam wpływ na swój los.

Obiekt nie trudno było zlokalizować, jeszcze łatwiej było zbliżyć się do niego i doprowadzić do ostatecznego celu. Najważniejszą kwestią było sprawdzenie, czego oczekuje od kobiety – dzikiego, wyuzdanego seksu, perwersji dających natychmiastowe spełnienie, czy też długich godzin pieszczot i wielokrotnych orgazmów. Kiedy już to wiedziałam, byłam gotowa do odegrania swego spektaklu i zdobycia miejsca na bezpieczny nocleg.

Mężczyzna, który mnie zainteresował, dysponował potężnym ciałem – był wysoki i dobrze zbudowany. Przywodził na myśl postaci z baśni, zasłyszanych w dzieciństwie, opowiadających o ludziach północy – barczystych, wysokich wikingach, posiadających długie brody i włosy w nieładzie wijące się wokół głów. Początkowo sprawiał wrażenie głupiego mięśniaka, który w kilka chwil po zerżnięciu kobiety bierze się za rąbanie drewna (albo odwrotnie). Zaskoczyło mnie jednak to w jaki sposób przemawiał. Już po kilku chwilach odkryłam, że dzisiejsza noc może przynieść także mi sporą dawkę nowej energii.

Kolejnym zaskoczeniem było to jak dobrze potrafił gotować, takich posiłków trudno było spodziewać się nawet w dobrze płatnych gospodach. Posilaliśmy się zatem bez pośpiechu, delektując się wyśmienitym smakiem prostej z pozoru potrawy, a jemu nasz zachwyt sprawiał niecodzienną radość. Pozwolił mi odprowadzić Syna do pokoju i położyć Go spać.

Kiedy znów pojawiłam się w głównym pomieszczeniu, poczułam wspaniały zapach, który doprowadził mnie do bocznego pokoju. Mężczyzna siedział tam na podłodze przykrytej zwierzęcą skórą o długiej, kolorowej sierści. Dawno nie widziałam czegoś takiego. W pokoju panował półmrok, lecz mimo to dostrzegłam pod ścianą ogromne łoże zarzucone różnymi tkaninami.

Z jakiegoś powodu ogarnęła mnie nieśmiałość, choć tak wiele razy oddawałam się w pośpiechu przypadkowym mężczyznom. Wiking uniósł się i podszedł do mnie. Był półnagi a jego ciało lśniło delikatnie w bladym świetle pochodni. Stał za mną i zgarnął moje włosy na lewą stronę, po czym objął mnie w pasie, całując jednocześnie mój kark. Jego dłonie rozpoczęły wędrówkę wzdłuż mojego brzucha i piersi. Nie pozwolił mi na odwzajemnienie tego gestu bądź odwrócenie się, natomiast sam poluzowywał moje ubrania i docierał do zakrytych fragmentów skóry.

Robił to niezwykle delikatnie, zaledwie muskając ciało i drażniąc zakończenia nerwowe w najbardziej zaniedbywanych jego zakamarkach. Jego ciepły oddech kontrastował z chłodnymi powiewami nocy, co prowadziło do wstrząsających mną dreszczy. Poczułam, że zaczynam robić się wilgotna i coraz bardziej chciałam przyspieszyć tempo wydarzeń.

On jednak był stanowczy i nie umożliwiał mi zbyt wielu ruchów. Powoli pozbawił mnie ubrań wciąż pieszcząc moje ramiona i szyję. Wargami objął płatek ucha by zacząć go ssać i przygryzać. W prawej dłoni zważył po kolei moje piersi, jednocześnie kierując lewą rękę w okolice sromu. Wąskie sutki przybrały ciemniejszy kolor i zesztynniały pod dotykiem szorstkich opuszków. Powietrze wydostało się z płuc z lekkim westchnieniem kiedy jego palce zanurzyły się w ciepłym, miękkim wnętrzu w poszukiwaniu clitoris. Wyprężyłam się niczym dzika kotka gdy tylko natrafił na maleńki punkt rozkoszy i szybko, lecz z wyczuciem pocierał go i okrężał. Czułam jego sztywną męskość, próbującą wydostać się spod krępujących materiałów, jednak nadal obezwładniał mnie, nie pozwalając się rozebrać.

Krew buzowała w moich żyłach w nadzwyczajnym tempie, oddech przyspieszał, a mi wydawało się, że w pomieszczeniu słychać tylko jego szum i szybki rytm serc. Tłumiłam w sobie cisnący się na usta krzyk, powstrzymywałam się w oczekiwaniu na nieuchronną falę nadchodzącego orgazmu, który wkrótce wstrząsnął moim ciałem niczym potężny wybuch.

Przez chwilę rozkosz sparaliżowała mnie i zastygłam w bezruchu, jednak wiedziałam, że to dopiero początek i nie dane mi było ochłonać. Czuły dotąd kochanek objął mnie w pól i rzucił na miętko zasłane łóżko. Natychmiast zdarł z siebie ubranie i wdarł się na mnie, wchodząc bez oporu w rozedrganą waginę. Pchał intensywnie i pośpiesznie, panosząc się w moim wnętrzu. Wspierając się na rozstawionych po bokach mojego ciała rękach, pochłaniał wzrokiem kołyszące się w rytm pchnięć piersi. Był niczym lekkoatleta na ostatniej prostej – wciąż przyspieszając, zbliżał się do wielkiego finału. Wydał z siebie ostry ryk zwycięstwa w momencie, w którym poczułam obce ciepło rozlewające się w moim wnętrzu. Spazm orgazmu wstrząsał jego ogromnym ciałem, gdy nagle opadł na mnie bez najmniejszego ruchu.

Krzyknęłam. Lecz krzyk ugrzązł mi w gardle. W pokoju zaroilo się od obcych postaci. Kątem oka zauważyłam w plecach kochanka sztylet,

lekko wbity w kręgosłup w takim miejscu, że kompletnie sparaliżował mężczyznę, pozostawiając go w pełni świadomym. Z grupy oddzieliło się czterech ludzi, którzy podeszli do nas i, złapawszy jego ciało, wynieśli je z pomieszczenia.

- Do wozu!
- Szybciej, kurwa!
- Tu jest ten dzieciak!
- Kobietę zostawcie dla mnie!
- Ruszać się!
- Zróbcie z nią, co chcecie...
- Pierdol to!
- Ona też się przyda!

Otoczyli mnie. Złapali. Gdzieś ciągnęli. Traciłam świadomość. Widziałam rozmazane obrazy. Słyszałam urywane zdania, strzępki rozmów. Ciemność. Niebo. Piach. Twarda podłoga. Szmaciany dach. Jedziemy. Sznury. Smród. Warkot silnika. Głosy. Ciemność...

Kiedy znowu otworzyłam oczy, nie bardzo wiedziałam gdzie jestem ani dlaczego. Z pewnością był to jakiś pokój. Nie duży. Nie mały. Ani za brudny ani czysty. Najzwyklejszy. Taki jakie się teraz spotykało wszędzie. Nie czułam bólu, nie było mi zimno. Wszystko wydawało się takie normalne, jakbym zwyczajnie poszła spać i obudziła się po kolejnej nocy. A jednak coś było nie tak. Nie było Jego. Wstałam by porozglądać się po okolicy. Spodziewałam się zamkniętych drzwi, ale nawet w tym przypadku dziwni, nocni napastnicy mnie zaskoczyli.

Wyszłam na długi korytarz wyposażony w sporą ilość drzwi, prowadzących zapewne do takich samych pomieszczeń jak to, które właśnie opuszczałam. Postanowiłam sprawdzić je po kolei, niezależnie od tego co miałabym zobaczyć wewnątrz. Nie czułam strachu a jedynie silne pragnienie odnalezienia Dziecka. Zdeterminowana do tego stopnia, że przestało się liczyć cokolwiek poza odszukaniem Go.

Jakież to było głupie. Nie zabrałam żadnej broni. Nie miałam czym się osłonić. Kompletnie zapomniałam o jakichkolwiek środkach ostrożności. Jak automat przechodziłam od drzwi do drzwi i każde z nich otwierałam by spenetrować kryjący się za nimi pokój.

Jego nie było. Nie było nikogo. Cisza i pustka. Do mojej świadomości zaczęła wkradać się straszna myśl. Zabrali Go i pojechali.

Zostałam sama. Bez picia. Bez jedzenia. Bez sprzętu. Bez pomocy. Bez Niego! – spokój przeradzał się w strach, by obudzić panikę. Coraz szybciej i szybciej biegłam przez korytarz, w pośpiechu otwierałam tylko drzwi, nawet nie wchodząc do pokoi.

Wołałam. Krzyczałam. Celowo robiłam coraz większy hałas. Jeszcze jedno drzwi. Ktoś tu musi być. Zaraz ich znajdę. Kiedy szarpnęłam za kolejną klamkę, moje oczy poraził ogromny blask, a w uszy wdarł się niesamowity hałas ruchliwej ulicy. Stałam jak wryta, nie mogąc pojąć tej nagłej zmiany. Przed moimi oczami przesunął się tłum ludzi, widziałam masę straganów, przekupki zachwalające swoje towary, pokrzykujących gardłowymi głosami mężczyzn i skrzeczące kobieciny.

Weszłam pomiędzy tą rozedrganą masę ludzką i powoli zaczęłam rozróżniać poszczególne słowa, wylapywać strzępy informacji. Dowiedziałam się, że znajduję się w dużym, zorganizowanym mieście, przed Katastrofą noszącym nazwę Toruń. O dziwo wyglądało prawie normalnie, jakby zostało pominięte przez falę zniszczeń... a może tak dobrze je odbudowano? Daleko było mu do dawnej świetności, ulice zarzucone były improwizowanymi stoiskami, wokół panował hałas i brud, jakiego nie widziano przed Wojną, ale w porównaniu z dominującym obecnie krajobrazem, to miasto było czymś niezwykłym.

Podziwiałam otoczenie i chłonełam atmosferę, ciągle potrącana przez mijających mnie ludzi. Byłam tu kompletnie anonimowa, ludzie nie zwracali na mnie uwagi, zupełnie jakbym była przezroczysta. Nikt nie zdziwił się, że jestem tu nowa, nikt nie zapytał czego chcę. Nie czułam wszechogarniającej podejrzliwości i niepewności ludzkiej, a raczej całkowitą obojętność.

— Złodziej! Łapać złodzieja! – rozległo się czyjeś wołanie, a tłum rozstał się przed szaleńczo rozpędzonym mężczyzną, trzymającym w rękach siatki z cebulą, jedynym warzywem, które nie uległo napromieniowaniu. Powietrze przeciął ostry dźwięk policyjnego gwizdka i moim oczom ukazał się ... opasły strażnik dzierżący w garści ociekające tłuszczem, nadgryzione golonko, którym pomachał w stronę uciekającego złodzieja, złorzecząc pod jego adresem i ponadto nie podejmując żadnej akcji, mającej na celu złapanie go. Tym bardziej, że nie wiadomo skąd pojawił się jakiś obszarpany wyrostek, namawiający „policjanta” do wychylenia kufelka piwa, chwając przy tym dobroduszość i wyrozumiałość władzy. Nie trudno było się domyśleć, że głupawy strażnik będzie wolał zakosztować drobnej przyjemności zamiast ścigać

przestępcę. Wyglądało też na to, że lubi słuchać pochwał pod swoim adresem.

— Witam szanownego pana – przysiadłam się do uczującego strażnika – Nie mogę wyjść z podziwu nad doskonałością pańskiego zachowania. Zapewne jest pan tutaj bardzo cenionym człowiekiem. Cóż za spryt i inteligencja przejawia się w pańskich poczynaniach.

— Em... tak...eee... rzeczywiście. Jestem tutaj głównym porządkowym!

— Nie dał się pan sprowokować chłystkom i odciągnąć z posterunku. Zapewne planowali grubszy atak i chcieli pana wywabić poza ten teren. A pan się nie dał! Trwa pan nadal i pilnuje, by nikt nie naruszał spokoju tej okolicy – brnęłam w puste pochwały, by sycić jego próżność i zdobywać sobie przychyłność. Liczyłam na to, że z takiego durnia uda się wyciągnąć jakieś informacje.

— Ha! Racja! Nie dałem się wyprowadzić w pole! To ja tu rządę! Ja!

— O tak! Pan pełni tu najważniejszą rolę. Zapewnia pan spokój tym biednym ludziom. Cóż za doskonała organizacja!

— To wszystko moja zasługa! – strażnik rozplýwał się nad swoim „geniuszem”.

— To pan zapewne jest także odpowiedzialny za ogromny sukces tego miasta, za jego zachwycający wygląd i uznaną w okolicy pozycję.

— Ja, ja... ale tylko po części. Całe miasto jest zarządzane przez naszego wielkiego wodza. Był tutaj ważną postacią jeszcze przed Wojną, ufundował schron, a potem przejął władzę i zorganizował to wszystko.

— Doprawdy? Musi to być wyjątkowa postać a pan pewnie jest jego prawą ręką. Czym się zajmujecie?

— No więc...tego... Zgniatacz zorganizował tutaj całą armię, zdobył samochody, przejął najważniejsze budynki i pilnuje wszystkiego w mieście. Kto mu się sprzeciwi – ginie ciężką śmiercią! Ale kto się umie podporządkować, temu jest tu dobrze.

— A skąd można by się czegoś więcej dowiedzieć o tak wspaniałym władcy? Nie chcę marnować pańskiego jakże cennego czasu, może by mi pan wskazał dokąd iść by dowiedzieć się więcej o szlachetnych czynach Zgniatacza? – słowa z trudem przechodziły mi przez gardło, ale były miodem na uszy strażnika i usypiały jego i tak marną czujność.

— Zbyt wiele pytać jest niebezpiecznie, ale mogę ci dać broszury, z których dowiesz się prawdziwych informacji.

Podziękowałam skwapliwie i zabrałam z jego rąk zadrukowane papierki. Odeszłam na bok i zaczęłam je studiować. Wyglądały na zwykłe propagandowe pisemka, wychwalające dyktatorską władzę Zgniatacza. Zapewne większość zawartych w nich informacji była sfałszowana, jednak dla mnie ważny mógł się okazać najmniejszy szczegół. Ulotki zawierały także prowizoryczną mapkę miasta i kilka zdjęć różnych obiektów takich jak szkoła, siedziba władcy czy laboratoria, w których rzekomo produkowano nowoczesne maszyny, mające pomagać ludzkości. Niestety nie znalazłam żadnego oficjalnego więzienia, ani innego miejsca, które mogłoby mi dać jakikolwiek punkt zaczepienia w poszukiwaniach Dziecka.

Wędrowałam ulicami, szukając jakiegoś sposobu... jakichś dodatkowych informacji... jakiegokolwiek śladu.

Nagle dobiegły mnie odgłosy odmienne od zwykłego tutaj miejskiego hałasu. W uliczkę, którą szłam, wjechał konwój, składający się z kilku samochodów po części nakrytych plandekami. Przywarłam do ściany w pierwszym napotkanym podwórzu i przyglądałam się przejeżdżającym. Domyślałam się, że to ludzie Zgniatacza, a także rozpoznałam, że właśnie takimi wozami przyjechali po nas tamtej nocy. Tylko do czego tak wielkiemu wodzowi potrzebny zwykły dzieciak? Co dziwniejsze, w wozach znajdowało się więcej dzieciaków i wyglądało na to, że są dobrze strzeżone jak jakiś cenny ładunek. Postanowiłam sprawdzić dokąd ich wiozą i czy wśród nich jest też ten, którego szukam.

Nie musiałam daleko skradać się za konwojem. Po chwili przejechali przez bramę, zamykającą wysoki mur, zwieńczony drutem kolczastym. Gdy samochody zniknęły z zasięgu mojego wzroku, brama zaczęła automatycznie się zamykać. Niewiele myśląc zaryzykowałam i prześlizgnęłam się do środka.

Resztki rozsądku podpowiadały mi, że muszę zachować większą ostrożność, ponieważ nie wiedziałam nawet gdzie jestem, ani z kim właściwie mam do czynienia. Staralam się możliwie jak najjaśniej myśleć i łączyć ze sobą wszystkie zdobyte dotąd informacje. Z jakiegoś powodu wygląd budynku, w którym się znalazłam, wydawał mi się znajomy... Tak, to było laboratorium, opisane w ulotkach. Czyżby przełomowe odkrycia, którymi szczycił się Zgniatacz, kryły za sobą eksperymenty na dzieciach? Nie mogłam dopuścić, by coś złego spotkało mojego Syna. Chciałam biec aby Go jak najszybciej odnaleźć i uwolnić, jednak coś mówiło mi, że najpierw muszę dowiedzieć się co się tu dzieje.

Zamiast pójść tropem samochodów poszukałam drzwi, prowadzących do wnętrza budynku. Rozglądałam się za komputerami bądź jakimiś aktami. Skradałam się bardzo cicho, by nikt mnie nie zauważył. Zagłębiałam się w czeluście nieznanego mi budynku i błąkałam się po korytarzach i schodach. W końcu dotarłam do jakiegoś składziku, gdzie znalazłam papierowe archiwa i dziwną aparaturę. Coraz dziwniejsze powinno być dla mnie to, że jak dotąd nikt się mną nie zainteresował, ale podniecona poszukiwaniami, nie zwróciłam na to uwagi.

Przekładałam różne teczki pełne dziwnych zapisków, sporządzanych często niezrozumiałym językiem, przeplatanych cyfrowymi szyframi czy też wzorami. Kompletnie nic mi to nie mówiło. Zrezygnowana przyjrzałam się dziwnej maszynie, której nie umiałam obsłużyć. Na chybił-trafił ponaciskałam różne guziczki i nagle moim oczom ukazało się coś na kształt hologramu, przypominającego człowieka. Prawie jak jakiś dzinn, unoszący się nad lampą Aladyna, to coś przedstawiło mi się i zapytało jakich informacji poszukuję.

Patrzyłam w osłupieniu i zastanawiałam się jak sformułować pytania, by dowiedzieć się czegoś istotnego. Nie prowadzono tu eksperymentów na dzieciach. W bazie danych tej maszyny nie było także niczego o moim Synu. Coś jednak musiało łączyć Go z tym miejscem...

Kluczem okazały się badania nad inteligencją. W końcu dowiedziałam się, że kilka lat temu Zgniatacz zamarzył, by stworzyć coś co będzie mogło maksymalnie wykorzystywać potencjał ludzkiego umysłu. Ściągał tutaj najlepszych ekspertów, którzy wynaleźli nadzwyczajne urządzenie, które po wszczepieniu do mózgu, pozwalało na dowolne modyfikacje możliwości nosiciela. Dzięki niemu można było korzystać w stu procentach z każdej szarej komórki, zachowując pozory normalnego funkcjonowania oraz specyficzne cechy charakteru nosiciela. Ponadto w każdym egzemplarzu znajdowała się baza danych, zawierająca całą wiedzę jaką do tej pory posiadała ludzkość, w związku z czym osoba, w której mózgu go umieszczono, miała dostęp do milionów informacji na każdy temat.

Aby ulokowanie urządzenia w mózgach było łatwe, naukowcy umieszczali je w ciałach specjalnych laboratoryjnych karaluchów. Te z kolei, wypuszczone na wolność, podświadomie kierowały się w stronę głów ludzkich. Przez ucho wchodziły do środka czaszki, były przy tym tak

przystosowane, że zaatakowana osoba czuła jedynie lekkie, chwilowe swędzenie kiedy karaluchy przedostawały się przez błonę bębenkową. Przedzierały się następnie do samego środka miękkiej masy mózgu, przeżerając sobie przejście, które za pomocą płynu, wydalanego przez tylne odnóża karaluchów, bardzo szybko zarastało i uszkodzone części narządu się regenerowały. Gdy insekt znajdował się w centrum czaszki, integrował się z mózgiem nosiciela, przekazywał mu wszystkie przenoszone przez siebie dane i usprawniał jego działanie. Z człowieka czynił robota, podsyłając mu różnorodne wizje i myśli w taki sposób, że człowiek cały czas uważał, iż jest ich autorem.

Nad wszystkimi nosicielami można było sprawować kontrolę za pomocą emiterów fal ultradźwiękowych. Przesyłano tak konkretne polecenia, programując żywe roboty. Miało to ogromne zalety, ponieważ nosiciel nie umiał się sprzeciwiać rozkazom, będąc cały czas w przekonaniu, że sam je wymyśla. Ponadto był bardzo trudny do wykrycia przez innych, gdyż posiadał unikalną osobowość i zachowywał się jak prawdziwy człowiek, będąc super zdolną maszyną do zabijania. Była jednak jedna wada – główne emitery miały bardzo mały zasięg, a te które potrafiły wysyłać wiadomości na daleką odległość, mogły nadawać tylko jeden prosty sygnał.

Niestety Zgniatacz, jak każdy przywódca, miał sporo wrogów, chcących przejąć władzę. Podczas jednego z zamachów wrogowie przeprowadzili atak na laboratoria, nie będąc świadomymi co w nich się znajduje. Na nieszczęście zniszczyli pomieszczenia i uwolnili karaluchy, które jak oszalałe dobrały się do ich mózgów. Część z nich wydostała się na zewnątrz i rozprzestrzeniła w różne strony świata, by zagnieździć się w głowach niczego nieświadomych ludzi.

Zgniatacz szybko rozprawił się z rebeliantami i ogarnęła go wściekłość z powodu utraconych karaluchów. Chciał odzyskać je wszystkie z powrotem. Niestety rozlazły się na tak wielkiej przestrzeni, że nie udało się wezwać ich wszystkich. Przywódca nakazał stałe wysyłanie przez emitery dalekiego zasięgu, informacji z rozkazem powrotu. Każdy nosiciel karalucha miał odtąd odczuwać stałą potrzebę podążania w stronę nadajnika...

Wyłączyłam hologram... Nie chciałam w to wierzyć, ale coraz mocniej dochodziła do mnie straszna myśl... Coraz bardziej oczywistym wydawało się, że ... Ale to nie mogła być prawda! On przecież miał wizje! On prowadził mnie do lepszego świata! To nie żaden robot... to mój Syn!

Niemożliwe żeby też nosił w sobie to paskudztwo! Nie! On wiedział, że gdzieś czeka na nas godziwe życie. Chciał dobrze. Robił to dla mnie. Był Wybrańcem! Cudownym dzieckiem! Nie mógł być tylko nosicielem jakiegoś cholerstwa!

W głowie kłębiły mi się straszne myśli. Nie chciałam dopuścić do siebie tego co wydawało się najwłaściwszą odpowiedzią, wyjaśnieniem wszystkiego. Objęłam rękami kolana i wtuliłam w nie twarz. Chciałam krzyczeć i płakać. Chciałam coś zniszczyć. Rozpacz wyzwalała we mnie ogromne pokłady agresji. Chciałam dopaść Zgniatacza i rozerwać go na strzępy.

— Hahahahaha! — w mojej głowie rozległ się metaliczny, szyderczy śmiech. Dochodził z głośników, którymi przepełnione były korytarze i mijane pomieszczenia — Głupia kobieto! Cały czas wiedzieliśmy, że tu jesteś! Nikt nie wedrze się niepostrzeżenie w posiadłości Zgniatacza! Hahahahaha!

Zerwałam się z podłogi i przybrałam pozycję bojową, zaciskając ręce w pięści. Jakże śmieszna byłam, nie mając żadnej broni palnej, ani nawet głupiego noża na swoją obronę. Rozglądałam się w amoku i wypatrywałam zbliżających się napastników.

— Twój dzieciak cały czas był nosicielem jednej z moich zabaweczek. Kto by pomyślał, że tak daleko zawędruje. Mały karaluszek uczynił ze zwykłego bachora cudowną istotę. Zdolną do wszystkiego. Potrafiącą sobie poradzić w każdych okolicznościach. I zmierzającą wprost do mnie. Długo wam zajęło dotarcie tutaj. Na szczęście kiedy zatrzymaliście się u tego olbrzyma, moje lokalizatory namierzyły waszą pozycję, a wierni ludzie przyśpieszyli podróż. Teraz czas na ostatni test! Muahahahaha!

Z korytarza dotarły do mnie odgłosy czyichś kroków... dziwnie znajomych kroków. Nie śpieszył się. Poruszał się tak cicho jak każdego poranka. W blasku lampy powoli zarysowywała się Jego sylwetka. Mój kochany, przyszedł mnie wybawić. Uśmiechnął się słodko, ukazując równy rząd białych zębów. Zalśniły Jego złociste włosy, miękko opadające na ramiona. W oczach pojawił się błysk radości.

— Mamo! — wykrzyknął radośnie i rozłożył ręce do uścisku.

Nagle jego twarz stężała. Oczy stały się zimne i martwe.

— A teraz ją zastrzel.